

# Janusz Sławiński

---

## I cóż dalej, szary człowieku?

---

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 2 (14), 1-9

---

1974

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

**Komitet  
Nauk  
o  
Literaturze Polskiej  
i  
Instytut  
Badań  
Literackich PAN**

**dwumiesięcznik 2, 1974**

# teksty teksty teksty

**TEORIA LITERATURY • KRYTYKA • INTERPRETACJA**

## **I cóż dalej, szary człowieku?**

*Widmo «szarego człowieka» krąży dziś po humanistyce. Jedni nim straszą, inni się go boją; dla jednych jest sojusznikiem, dla drugich zagrożeniem; jedni się na nie powołują z najwyższym ukontentowaniem, drudzy wolą nie słyszeć, nie widzieć (nie wszyscy zresztą są w stanie zobaczyć — widmo), a przynajmniej nie dosłyszeć czy przeoczyć; pierwsi wiedzą, co czynią i dlaczego, drudzy nie bardzo, bo popłoch uniemożliwia im jasne rozeznanie w sytuacji, a chęć schowania się — efektywną taktykę obrony.*

*Im silniejsze są wśród dyscyplin humanistycznych tendencje specjalizacyjne, im bardziej technicyzują się ich języki, im większa odległość je dzieli od mowy potocznej i problematyki dającej się rozważać «na zdrowy rozum» — tym natarczywsze stają się upomnienia i przestrogi do nich adresowane. Pamiętajcie, kto oczekuje na wasze prace — powiada się humanistom; nie piszecie wyłącznie dla swoich kolegów, powinniście się liczyć z potrzebami szerszej publiczności odbiorców; utwory wasze pragną ze zrozumieniem czytać szarzy ludzie, nie możecie nie brać w rachubę ich uzasadnionych spodziewań i życzeń. To w tonacji perswazyjnej. Ale mamy też do czynienia z tonacją agresywną, z pohukiwaniami i oskarżeniami. Dlaczego za społeczne pieniądze publikuje się książki, które*

mogą zaciekawić jedynie garstkę «wtajemniczonych»? Dość już mamy rozmaitych Iksińskich i Ygrekowskich — uczonkowatych utrudniaczy, którzy swoim pseudonaukowym żargonem znieprawiają polszczyznę tak pięknie rozkwitającą pod piórami humanistów minionych pokoleń. Dzieła dawnych uczonych odbieraty z najwyższą satysfakcją szerokie rzesze czytelników; dzisiejsi — pożałujcie boże — «badacze» nie mogą liczyć na żadną publiczność, działają w społecznej próżni, odpowiedzią na ich pretensjonalne grymasy jest co najwyżej posępne zniechęcenie lub irytacja zdezorientowanego odbiorcy. Toteż można uznać za rzecz co najmniej dziwną, że mimo głosów jakże zrozumiałego sprzeciwu nadal prosperują u nas placówki naukowe, które pod szyldem specjalistyczności uprawiają działalność lekceważącą potrzeby szerokich rzesz czytelników. Uwili sobie w nich ciepłe gniazdzka niezrozumiałcy różnej maści, przemądrzalcy porozumiewający się (czy jednak — naprawdę?) między sobą przy pomocy mowy ciemnej, hermetycznej i niepojętej dla ludzi spoza «środowiska».

Z podobnymi filipikami spotykali się nieraz pracownicy różnych dyscyplin humanistycznych. Jednakże bodaj tylko dla badaczy literatury stały się one dziś chlebem powszednim. Socjolog, etnograf, historyk czy muzykolog mogą je usłyszeć w sytuacjach — powiedzmy — rozrachunkowo-odświeżających. Literaturoznawcy słyszą je niemal codziennie; byłiby zapewne szczerze zdziwieni, gdyby nagle przestały atakować ich umęczone uszy. Żadna dyscyplina nie ściągnęła na siebie tylu złorzeczeń, drwin, szyderstw i poważnych ostrzeżeń. Pełne wymyślnej złośliwości utyskiwania na drętwość i niezrozumiałość «języka iblowskiego» (dawniej mówiło się: «języka polonistycznego») należą — jak wiadomo — do stałego u nas repertuaru występów publicystycznych; pojawiają się w każdym sezonie i zawsze mogą liczyć na wzięcie. Niewątpliwie sytuacja literaturoznawstwa jest pod tym względem krańcowa: odgrywa dziś ono rolę Winkelrieda, zbierającego na siebie ciosy wymierzone w humanistykę. Rola ta wszakże nie z heroizmu wynika, a z upośledzenia naukowego tej dyscypliny. Literaturoznawstwo po prostu nie dysponuje językiem odpowiednio «technicznym» i «specjalistycznym», który by był naprawdę niezrozumiały dla osób biegle nim nie władających.

Język współczesnej socjologii czy etnologii z pewnością więcej kłopotów sprawiłby szaremu człowiekowi niż najbardziej wyrafino-

wane twory «języka iblowskiego». A lingwistyka dzisiejsza — ta ustabilizowana życiowo siostrzyca, a zarazem mistrzyni wiedzy o literaturze? Któż poza samymi językoznawcami mógłby odpowiedzialnie oświadczyć, iż czyta z pełnym rozumieniem prace Kuryłowicza, Zawadowskiego czy Bogusławskiego (żeby ograniczyć się do stron ojczystych)? A przecież nikt nie ma za złe lingwistom, że ich wypowiedzi są zbyt specjalistyczne i zbyt trudne dla nie przygotowanego odbiorcy. Mało kto skłonny byłby ganić za to socjologów czy etnologów. Powód jest prosty: ich przedsięwzięcia badawcze są immunizowane na takie pretensje właśnie dlatego, że realizują się w systemach mowy, do których niespecjalista nie ma właściwie dostępu (tak się przynajmniej wydaje...), analogicznie jak nie ma dostępu do prac z zakresu nauk ścisłych czy technicznych. Zarzucać językoznawcy, że opisując system fonologiczny polszczyzny używa obco i niesympatycznie brzmiących terminów, byłoby takim samym dziwactwem, jak domagać się od chemika, by wykladał w języku potocznym teorię polimerów, lub od inżyniera, by w stylu wstępniaka gazetowego przedstawił technikę ustalania wytrzymałości mostu kolejowego. Każdy z nich troszczy się o to, by jego wysiłek myślowy dawał się zadowalająco komunikować kolegom-fachowcom, natomiast wzgląd na komunikację zewnętrzną — z ewentualnymi odbiorcami niefachowymi — ma tu znaczenie najzupelniej drugorzędne, jeśli nie zerowe.

Literaturoznawstwo natomiast jest dyscypliną pozbawioną — jak dotąd — powszechnie uznawanych standardów fachowości. Jego wyspecjalizowana terminologia — uboga i chwiejna — tworzy zaledwie wysepkę w żywiole mowy potocznej; zasadnicze normy wystąpienia wyznacza tu język towarzyskiej konwersacji, propagandy, działalności oświatowej, poniekąd także literatury pięknej. Jest to język wspólny «zawodowcom» i «amatorom» (żeby odwołać się do błyskotliwych spostrzeżeń Stefana Treugutta sformułowanych kiedyś na tym samym miejscu), pozostający w znacznej mierze w zasięgu niemal każdego jako tako przysposobionego miłośnika sztuki słowa. Za swoje zacofanie naukowe wiedza o literaturze płacić musi wysoką cenę: stan jej wyposażenia pojęciowego, zakres penetrowanej problematyki, przyjęty sposób mówienia — znajdują się pod kontrolą nie tylko «zawodowców», ale i «amatorów» (sama zresztą granica między nimi jest płynna...). Ci ostatni czują się za nie odpowiedzialni w stopniu nie mniejszym niż pierwsi. Rzecz zrozumiała,

że w takiej sytuacji jakiegokolwiek próby ustalania norm fachowości są natychmiast — i nie może być inaczej — odczuwane jako ograniczenie naturalnych praw «amatorów». Ich sprzeciw nie powinien dziwić: któż godzi się bez oporów na utratę przywilejów? Wołają więc: to niezrozumiałe, bo rzeczywiście zaczynają mniej niż dotąd rozumieć. Ostrzegają: komu to potrzebne? — bo przecież naprawdę na nic im się to przydać nie może. Lamentują: jakaż to szpetna polszczyzna, bo istotnie często odbiega od języka, którym posługują się na co dzień.

A przecież «zawodowcy» muszą pozostać głusi na wołania te, ostrzeżenia i lamenty, jeśli pragną zdziałać coś nowego. Nie widać powodu, dla którego należałoby się przejmować, że «szary człowiek» nie jest w stanie zatopić się w pełnej rozumienia lekturze rozpraw poświęconych «metodom obliczania wskaźników bogactwa leksykalnego tekstów», «morfologii przekazu narracyjnego» czy «synchronii i diachronii w procesie historycznoliterackim». Z pewnością wystarczy, że spotkają się ze zrozumieniem zainteresowanych badaczy. Wygłaszając taki pogląd, łatwo narażamy się na zarzut: jakże to, badacz literatury wypowiada się o zjawiskach, które mają adresata p o w s z e c h n e g o (wszak w dziedzinie literatury znaleźć może dla siebie strawę duchową każdy, kto tylko potrafi czytać), a zatem powinien o nich rozprawiać tak, żeby jego opinie były powszechnie zrozumiałe. Jeśli jednak jesteśmy dostatecznie uodpornieni na demagogię, odpowiadamy: każdy czytelnik interpretuje utwory literackie swoją lekturą, tak jak przechodzień interpretuje konstrukcję mostu, spacerując po nim, a kierowca jeżdżąc autem, jak gospodyni domowa interpretuje zjawisko elektryczności, włączając kuchenkę lub elektroluks, jak żołnierz interpretuje właściwości materiału wybuchowego, strzelając z armaty lub wysadzając się w powietrze w twierdzy zdobywanej przez wroga. Do sprawnego i efektywnego wykonywania tych działań nie potrzebna jest ani znajomość odpowiednich wzorów matematycznych, które spełnia konstrukcja mostu, ani wiedza teoretyczna o istocie elektryczności, ani umiejętność precyzyjnego określenia składu chemicznego prochu czy dynamitu.

Tak samo satysfakcje estetyczne lub poznawcze płynące z lektury dzieła literackiego nie wiążą się bynajmniej z tym, czy odbiorca posiadał stosowną wiedzę w zakresie wersologii, stylistyki, tematologii, teorii literatury itp. Może się utworem wzruszać, bawić, czerpać z niego nauki moralne lub podniety do rozmyślań — niezależnie

od tego, czy zna koncepcję warstwowej budowy dzieła literackiego Romana Ingardena, albo czy jest wtajemniczony w istotę sporu między strukturalizmem a genetyzmem w badaniach literaturoznawczych. Zjawiska literackie, podobnie jak wszelkie przedmioty znajdujące się w polu naukowej ciekawości, podlegają równolegle potocznej interpretacji w terminach codziennej praktyki. Z faktu tej równoległości wszakże nie wynika, że wiedza naukowa jest (czy powinna być) redukowalna do owej codziennej praktyki. Mamy tu do czynienia z dwoma komplementarnymi językami, z których każdy na swój sposób grupuje i systematyzuje doświadczenia.

Tak oto ciągniemy pracowicie nasz wywód i nagle zdajemy sobie sprawę, że jest zawieszony w próżni. Do kogo bowiem go kierujemy? Mogłoby się wydawać, że do «szarych ludzi», ażeby im wytłumaczyć, dlaczego język nauki nie może naginać się do ich upodobań i aspiracji. Czy jednak jakikolwiek «szary człowiek» domagał się tego od badaczy literatury? W kontekście, który nas tu interesuje, ów «szary człowiek» występuje zawsze jako «on», nigdy jako «ja». To ktoś inny wypowiada się o jego potrzebach i pretensjach. Ktoś inny w jego imieniu protestuje przeciw nieludzkiemu językowi, którym posługują się dzisiejsi literaturoznawcy. Z kim więc mamy przyjemność? Mówiąc najkrócej: «szary człowiek» to figura stylistyczna stosowana przez samych fachowców (półfachowców, ćwierćfachowców itp.) od literatury w sytuacji, gdy zgłaszają sprzeciw wobec inicjatyw badawczych innych fachowców. Przyrost problematyki i postępujące różnicowanie się i rozwarstwianie języka literaturoznawczego przebiegają — przynajmniej w ciągu ostatniego piętnastolecia — w tempie na tyle szybkim, że coraz częstszym zjawiskiem staje się dezorientacja samych «zawodowców», którzy nie potrafią już ze zrozumieniem zapanować nad rezultatami dociekań swoich kolegów. Profesor przestaje pojmować innego profesora (mimo że obaj są w nomenklaturze zawodowej — historykami literatury), docent — docenta, a już nieomal regułą jest, że największe trudności sprawia profesorowi zrozumienie prac awangardowych asystentów.

Cóż może być przykrzejszego dla badacza od uświadomienia sobie własnej niekompetencji w materiałach, które jeszcze niedawno znajdowały się — przynajmniej potencjalnie — w obszarze jego możliwości poznawczych? Chyba tylko podanie tego smutnego faktu do wiadomości publicznej. Ale to jedynie możliwość teoretyczna: nikt

wprost nie przyzna się do niekompetencji. Będzie raczej usilnie dążył do stworzenia sobie całego systemu przemyślnych zabezpieczeń: tak rodzą się formy świadomości zmistyfikowanej — najrozmaitsze mitologizacje, zrazu prywatne, potem środowiskowe. Otóż wolno sądzić, że figura «szarego człowieka» nie mogącego dziś nawiązać porozumienia z twórcami myśli naukowo-humanistycznej, sfrustrowanego i rozpamiętującego ze wzruszeniem minione czasy, gdy humaniści przemawiali pięknie, prosto i popularnie — stanowi symboliczny ekwiwalent własnej sytuacji takich fachowców od literatury, którzy poczuli się zagrożeni faktem pojawienia się i rozpowszechnienia w macierzystej dyscyplinie metod i technik badawczych pozostających poza obrębem ich umiejętności i zdolności przyswajania.

Co w imieniu »szarego człowieka« ma się przede wszystkim za złe literaturoznawcom, to nadmiernie specjalistyczny charakter użytkowanego przez nich języka. Warto tej pretensji poświęcić parę słów. Jak wiadomo język specjalistyczny to taki, który został przystosowany wyłącznie do obsługiwanie jakiejś wyraźnie określonej dziedziny przedmiotowej, skonwencjonalizowany w użyciach ludzi zajmujących się tą dziedziną, a zarazem oddzielony dobitną granicą od języków przyporządkowanych innym dziedzinom przedmiotowym. Jest rzeczą znamioną, że zarzut przesadnej specjalistyczności bywa kierowany z reguły przeciw takim głównie przedsięwzięciom naukowoliterackim, które programowo odwołują się (osobna sprawa, czy trafnie) do zasobów terminologicznych innych dyscyplin wiedzy, przykładowo: lingwistyki, socjologii, etnologii, teorii informacji, cybernetyki. Tak więc specjalistycznymi określeniami nie byłyby na przykład skonwencjonalizowane w użyciach literaturoznawczych zbitki słowne: «strona formalna», «strona treściowa», «plastyczny opis», «żywe opowiadanie», «środki artystyczne», ale byłyby nimi «wzory zachowań», «sekwencja fonemów», «wzrost entropii tekstu», «kod», «relacje syntagmatyczne». A przecież, ściśle biorąc, to właśnie pierwsza seria ma charakter bardziej specjalistyczny, ponieważ składa się z określeń na gruncie wiedzy o literaturze obiegowych, powtarzalnych, utartych. Pewnie: dość żalosa to specjalistyczność, ale każda nauka ma taką, jaką potrafiła sobie wypracować. Natomiast o badaczach literatury operujących określeniami wchodzącymi do drugiej serii trudno byłoby powiedzieć, że zasklepiają się w swoim specjalistycznym języku, gdyż właśnie poza niego wychodzą. Ich

*poczynania — udane, mniej udane, czy wręcz nieudane — stanowią próbę przełamania granic zdrewniałego słownika własnej dyscypliny, osadzenia wypowiedzi literaturoznawczych na pograniczu języków różnych dyscyplin, a więc włączenia ich w szerszy kontekst doświadczeń naukowych. Jak się okazuje, «szaremu człowiekowi» nie tyle specjalistyczny język przeszkadza, co język dotąd nie używany w dyscyplinie, pod jakimś względem nowy. I nie za niespecjalistycznym się opowiada, lecz po prostu za tradycyjnym, możliwie najbardziej utartym (i wytartym). Jego uprzedzenia stanowią projekcję konserwatywnej utopii tych badaczy, którzy lękając się panicznie jakichkolwiek «nowinek», starają się nam wmówić, że obowiązujące dziś normy wypowiedziane się naukowego w humanistyce zostały już definitywnie ustalone w przeszłości, w dziełach Tarnowskich, Chmielowskich, Kallenbachów czy Chrzanowskich, które stanowią dla nas niedościgły ideał i nie wysychające źródło podniet. Podejmując zawarte w nich przesłanie zdołamy przywrócić harmonię między literaturoznawstwem a szerokimi kręgami społeczeństwa.*

*W tych wzniostych zaleceniach zapomina się o okoliczności banalnej: że badacz piszący dziś na serio językiem Tarnowskiego byłby zjawiskiem niewymownie śmiesznym. Ale to tylko brak wyobraźni stylistycznej pozwala autorom owych zaleceń przejść nad tym do porządku. Dają mu zresztą świadectwo własnym pisarstwem, które znacznie bliższe jest dziennikarskim frazesom niż tradycjom prozy dawnych humanistów. Nie to jednak zasługuje na uwagę. Znamienna jest przede wszystkim zgola formalistyczna koncepcja języka badawczego, która stanowi podłoże zgłaszanych pretensji. Rozumie się go jako «szatę słowną», którą można swobodnie manipulować niezależnie od tego, co ma się do zakomunikowania. Te same treści (dawno przecież znane...) mogą rzekomo być wypowiedzane tak lub inaczej, w sposób przystępny lub skomplikowany, w mowie potocznej lub przy pomocy estetycznie odrażających terminów. A jeśli tak, to wybór «drętwej mowy» zamiast stylu powabnego i powszechnie dostępnego jest niczym innym, jak świadectwem złej woli lub zwykłej zmowy zarozumiałych utrudniaczy. Przemawiający w imieniu «szarych ludzi» nie chcą zdać sobie sprawy z tego, że taki czy inny język stosowany przez badaczy to nie bierny (a więc wymienialny) przekąźnik wyników poznania, lecz narzędzie uruchamiające dziedziny zagadnień zamknięte dla innych języków. Pomiedzy językiem*



a penetrowaną problematyką istnieje dialektyczna zależność: to, co zostaje odsłonięte w interpretacji, nie występuje inaczej, jak w ramach pewnego języka interpretacyjnego, w jego pojęciach i terminach. Oceniać dany «styl» prozy naukowej można zatem tylko w taki sposób, że uwzględniać się będzie osiągnięte w nim rezultaty badawcze. W tej perspektywie różne dziś funkcjonujące w literaturoznawstwie odmiany «drętwej mowy» okazałyby się zapewne funkcjonalnymi i użytecznymi metodami eksploracji.

Nie wolno bronić pisarskiej nieporadności czy stylistycznego niechlujstwa (jakże przecież częstych w dzisiejszej humanistyce), należy jednak domagać się przyjęcia takiego punktu widzenia, który pozwoli spojrzeć na sprawę dyskursu naukowego bez formalistycznych uprzedzeń i ze zrozumieniem dla metodologicznej ważności językowych decyzji badaczy. Przy pomocy swojego żargonu dzisiejsi literaturoznawcy usiłują powiedzieć rzeczy, których nie wypowiedzieli ich znakomici poprzednicy przywoływani zwykle na świadków. Kallenbach czy Chrzanowski byli wybitnymi historykami literatury, ale domagać się, by obecnie historycy literatury wzorowali się na ich języku (a zatem i problematyce), to ostentacyjnie nie przyjmować do wiadomości procesów, jakie się dokonały w humanistyce w ciągu ostatniego półwiecza. Postulować, by jako wzór poczynañ naukowych traktować dziś Piotra Chmielowskiego, to nic innego, jak podchodzić w bezpośrednie sąsiedztwo jeszcze starszego Chmielowskiego — Benedykta.

Zmierzamy do wniosków: ataki na nieludzki język literaturoznawstwa to w istocie rozpaczliwa — i chyba beznadziejna — obrona problemowego status quo ante dyscypliny. Jest ona przede wszystkim akcją «zawodowców», którzy nagle stracili poczucie bezpieczeństwa w obliczu zagadnień i metod przerastających stan ich przygotowania fachowego. Świat, w którym dotąd pomyślnie prosperowali, uporządkowany i ponazywany w swojski sposób, zaczyna oto ulegać niezrozumiałym dla nich przeobrażeniom. Nie potrafią mu stawić czoła. Jak zawsze w takich wypadkach rodzi się spontaniczna dążność, by to, co nowe i niepojęte, zdefiniować jako wysoce nie-naturalne, zewnętrzne, nieorganiczne, importowane — nie mające w ogóle szans, by stać się elementem jakiegokolwiek obszaru zadowolenia. Jest to sprzeczne z naszymi podstawowymi powinnościami społecznymi — oświadczają. Powinnościami — wobec nauki?

*Tego powiedzieć nie mogą, ponieważ musieliby przeprowadzić dowód prawdy, a to pozostaje poza zasięgiem ich możliwości. Kreują więc widmo «szarego człowieka» gdyż sojusz z tym potężnym sprzymierzeńcem pozwala im prowadzić grę przeciw nowości na znacznie wygodniejszym placu.*

*A może by to widmo przebić kołem osinowym?*

**Janusz Sławiński**